

Witajcie wszyscy. Jeśli wczoraj nie wypuścili was z ciemnej piwnicy służącej za izolatkę, to pewnie wiecie że są wakacje. W wakacje często dziaciaki albo już nastolatkwie szukają sobie pracy. Obojętnie jakiej, byleby sobie zarobić parę groszy. Przynajmniej ja nierzadko widzę nastolatka sprzedającego watę cukrową w parku, rozdającego ulotki lub chociaż koszący trawę u sąsiada, jeżeli mówimy o mieszkaniu w domkach jednorodzinnych. Jednak tak często, jak młodzi ludzie dostają pracę, tak często poddają się i nie szukają już sposobów na zarobek, "a będę miał kasę od starych". Mi też przypominają się stare, dawne, najlepsze moim zdaniem czasy kiedy w wieku plus minus dwunastu lat tworzyło się pierwsze, własne pieniądze.

W latach dziewięćdziesiątych, czy wczesnych, czy późnych wstydem dla dzieciaka było chodzenie do rodziców po pieniądze, przynajmniej w moim rejonie. Dobra, można było dostawać miesięczne lub tygodniowe, niewielkie kieszonkowe, ale hańbą w otoczeniu było proszenie regularnie matkę czy ojca o kasę, tu na ubrania, tu na imprezę. Nie, kurwa, przynajmniej u mnie, ale w rozmowach ze znajomymi mam wrażenie, że w całej Polsce dzieciaki zdobywały pieniądze własnymi sposobami, na przykład właśnie pracując.

W naszym wypadku wyglądało to podobnie, jednak nie tak samo. Zacznę od tego, że jak większość młodych ludzi mieliśmy ekipę. Kilkuosobowy skład, który zawsze trzymał się razem i liczył na wzajemną pomoc. Po czasie "składy" stawały się osiedlowymi "gangami" i trzeba było uważać gdzie się stoi. Nie raz, nie dwa ci z przeciwnej ekipy, z którą mieliśmy "kosę", zauważali na przykład nas, jak wchodzimy do sklepu na ich osiedlu, a co wtedy? Wychodziło się, czekało przed sklepem, a gdy "zła" ekipa wychodziła ze sklepu, zazwyczaj kończyło się to bójką. I my mieliśmy właśnie taką ekipę. Po czasie potrzebowaliśmy własnych pieniędzy, na słodycze, na papierosy, piwo czy cokolwiek. Wiadomo, w młodym wieku próbowaliśmy wszystkiego. A większość naszej ekipy, w tym ja zaczęliśmy już palić trawę. Na kolejne jointy trzeba było zarobić, w końcu trzy dychy piechotą nie chodzą. A gdzie przyjmą do prawdziwej pracy dwunastolatka? Wtedy z pieniędzmi nie było jak dzisiaj, matki brały kredyty, a ojcowie zapierdalali za marny hajs na budowie. Większość z nas tak miała, że bogaci nie byli. Dlatego musiałem samemu zarabiać, no ale to już pisałem. Trochę opowiem o sposobach, bo jeśli czyta to jakiś dzieciak, to może mu to pomoże. Chcieliśmy pracować, ale mieliśmy do tego ograniczony teren.

Po pierwsze, kaucja za butelki. Wiem, wiem, zbieranie butelek jak jakieś jebane menele spod Żabki, ale co lepsze, jeśli daleko do domu? Sprzedać butelki i mieć jakieś drobne, czy siedzieć bez picia do końca dnia? Wieczorami chodziliśmy do melin, gdzie siedzieli menele. W okolicach osiedlowych garaży było tego najwięcej. Butelki do reklamówki i pędem do sklepu po pieniądze. Jest to chujowo pomysł na zarabianie, bo jedna butelka to w przypadku mojego miasta pięćdziesiąt groszy, ale na nagłą potrzebę np. picia czy jedzenia na bułkę i wodę zawsze starczy.

Po drugie, sprzątanie. Zbliżała się wiosna, ludzie zaczęli robić w domach porządki. Wystarczyło przejść się po klatkach i popytać, czy można pispzątać garaż czy mieszkanie. Jesienią jeździliśmy autobusami na dzielnice, gdzie dominowały donki jednorodzinne, tylko po to, żeby pozamiatać grabiami liście spadające z drzew. Zimą również w domkach jednorodzinnych odśnieżaliśmy podwórka oraz bramy. Przez cały rok ten sposób działa, a i zarobki były dobre. Idealnie.

Trzeci i ostatni sposób to jak pisałem na samym początku tekstu, normalna praca. Jak masz już te trzymacie, czternaście lat to idź zapytak w jakiejś pizzerii czy sklepie o ulotki. Ja za to w wieku szesnastu lat

miałem robotę, bo tak jak na początku wspominałem, robiłem i sprzedawałem watę cukrową na stoisku ojca kolegi. Na początku jego syn miał pracować na tym stanowisku, ale odmówił, na czym ja skorzystałem. A jeśli nie masz okazji, ewentualnie jesteś za młody, my mieliśmy na to sposób. Ja i brat, Maciej. Kupowaliśmy w sklepie orenżadę w proszku i połowę wciągaliśmy nosem (no co, taki kolorowy koks), a połowę rozpuszczaliśmy w wodzie i sprzedawaliśmy ją na kubeczki po złotówkę na własnoręcznie zrobionym stoisku (czytaj: drewnianym stole). Coś takiego jest bardzo dobrym sposobem na zarobek, ale niestety tylko w lato, kiedy jest gorąco i ludziom chce się pić. My sprzedawaliśmy rano i w południe pod kościołem, bo bardzo dużo osób idących na msze kupowało u nas orenżadę.

Tak to się w latach dziewięćdziesiątych robiło. Na pieniądze mogliśmy narzekać, ale i tak nie było tragicznie. A lepiej zarabiać takimi sposobami (no może za wyjątkiem pierwszego), niż ciągnąć kwit od rodziców. Taka jest moja opinia, jej chyba na razie nie zmienię. Pozdrawiam.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

TiW, dodano 21.07.2017 11:17

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.